

*Jan P. Hudzik*

Uniwersytet Marii Curie-Skłodowskiej w Lublinie

## **Filozofia w zgiełku sfery publicznej**

### **Uwagi wstępne**

To, że filozofowie interesują się wartościami na tle tradycji ich dyscypliny jest czymś oczywistym. Kiedy jednak, pewni swego, roszczą oni sobie pretensje do ingerowania w „aksjologię sfery publicznej”, może to (przynajmniej u niektórych) budzić dziś niepokój. Ci ostatni pierwiej chcieliby bowiem zapytać tych pierwszych o aktualność ich legitymacji w tym względzie, co by znaczyło *de facto*: o tożsamość dyskursu filozoficznego w świecie, w którym tożsamości – w samowiedzy jego mieszkańców – rozpuściły się, który nadal ich wprawdzie poszukuje, ale zadowala się samym poszukiwaniem, podszyty lękiem przed ich (ostatecznym) znalezieniem. Tego rodzaju lęki wśród wykształconej (części) publiczności wzbudzają filozofowie – przez swoją pychę, zuchwałą gnozę nauczycieli, której posłuch u praktyków-polityków w historii, tej najnowszej zwłaszcza, miał tragiczne następstwa. Krytyczne postanowienie poprawy, poczynając od Kanta, coś wprawdzie w samej filozofii zmieniło – uwrażliwiło (niektórych) na totalitaryzm, dało narzędzia do analizy różnych mechanizmów władzy: podległości, dominacji i ekskluzji społecznej, ale nie dało instrumentów/metodologicznych wskazówek do tego, jak radzić sobie w zbliżonych do dzisiejszych warunkach wielogłosowości idei i doktryn moralno-społeczno-politycznych, przy zacieraniu się granic – w rezultacie: zgłajszaltowaniu – dzielących (tradycyjne) dziedziny wiedzy, kategorie myślenia i praktyki kulturowe. Płynne kryteria wartościowania pozycjonowane są przez sam rynek, rankingi prawd/autorytetów pokrywają się z siłą ich medialnego nagłośnienia. Pytanie o miejsce filozofii polityki w całym tym zgiełku – szczególnie naszej, polskiej sfery publicznej – może więc odnieść zgola niezamierzone skutki, uruchomić lawinę frustracji wśród uczonych-akademików,

przygnębionych uczuciem zbyteczności w debacie publicznej, pozbawionych szans na przystąpienie do grona medialnych *fast-thinkerów* (Bourdieu), doradców aktualnej ekipy rządowej lub przynajmniej ekspertów zamożnej fundacji wspierającej naukę. Czy dziennikarzom i politykom, władającym dziś niepomierne życiem publicznym, potrzebni są jeszcze jacyś filozofowie? Jacy filozofowie?

Wracam do tego pierwszego pytania o znaczenie filozofii polityki w debacie publicznej. To pytanie wieloznaczne – albo pytamy o obecność w niej konkretnych osób, akademików, uprawiających zawodowo filozofię polityki, albo wchodzimy na wyższy poziom abstrakcji i pytamy o pojęcia, język, koncepcje z zakresu filozofii polityki obecne w dyskusjach toczonych na forum publicznym. Należy zakładać, że wraz z osobami, ich wykształceniem, pojawia się właściwy im sposób myślenia, ale nie ma tu wynikania logicznego – wykształcenie niekoniecznie przekłada się na to, co nazywamy „mądrością”, nabyta przez nas wiedza może przecież różnić się z naszym zachowaniem. Żeby udzielić jakichś wiążących odpowiedzi na to drugie pytanie – o filozofów – trzeba by więc zastosować drobiazgowo badania nad tzw. dyskursami medialnymi, w których biorą udział, zarówno ilościowe, jak i jakościowe. Wychodzi to oczywiście poza zakres mojego artykułu. Łatwiej mi będzie za to przypomnieć najpierw, krótko, kanoniczne sposoby pojmowania relacji między filozofią a szeroką publicznością, i odnieść je do filozofii polityki, która pod koniec XX w. musiała zmierzyć się z zarzutami o monologiczność i pychę, stanęła też wobec problemu swojej dyscyplinarnej tożsamości. Rozważania zawarte w dwóch pierwszych częściach odpowiadają ogólnie standardom akademickiego wywodu z zakresu historii idei. W części trzeciej zmieniam nieco ton argumentacji, w stylu publicystycznym sięgam do toczącej się u nas dyskusji na temat szkolnictwa wyższego. Rzecz dotyczy miejsca pracy filozofów polityki – ukazując ich niemoc w przebijaniu się do medialnego *m a i n s t r e a m u*, a wraz z tym i w przedstawianiu osobistych trosk w kategoriach problemów publicznych, niewiele nowego jestem w stanie wniesić do znanej diagnozy ról społecznych uczonych – przez Zygmunta Baumana rozpoznanych jako „tłumaczy” i przeciwstawianych „prawodawcom”. Mam jednak okazję ukazać koszty, jakie u nas ponoszą ci, którzy chcą wyrwać się z murów uniwersytetu – czy to za cenę *z d r a d y k l e r k ó w*, czy za oddanie się w służbę władzy politycznej, jak to jest w przypadku uczonych funkcyjnych, zatrudnionych w centralnych instytucjach zarządzających nauką, czy wreszcie za wejście – czasem za wszelką cenę – w rolę polityka. Do nowego spojrzenia na znaczenie filozofów w polityce posłuży mi teza konstruktywistyczna, zgodnie z którą wyrażane publicznie opinie nie tylko przekazują informacje czy ujawniają emocje lub intencje ich autorów, lecz także aktywnie oddziałują na rzeczywistość – w pewnym sensie stanowią ją. Jaki udział w tym dziele tworzenia ma dziś myśl filozoficzna, a bardziej konkretnie – sami filozofowie? Na koniec – w części czwartej – piszę o nich konsolacyjnie, ale i pragmatystycznie zarazem. Moje motto: strzec się motywu filozofa-króla, nie popadać w ton wysoki, nie apologetyzować – i nie lamentować!

## Pycha i zagubienie

Nie ma demokracji bez sfery publicznej, wolnej wymiany zdań i jawności w podejmowaniu decyzji dotyczącej wszystkich obywateli. Sokrates nie jest najlepszym dowodem na doskonałość tego systemu rządzenia – padł jego ofiarą i potwierdził swym gestem tylko jedno, że mianowicie żadna władza nie przepada za filozofami, którzy – wierni sobie (jeśli tacy są) – podważają oczywistości, zastane porządki rzeczy. Wierni sobie, to znaczy wierni rozumowi – to ich nieustanne kwestionowanie świata bierze się bowiem z samej kolistej natury rozumienia: „Ironia wszelkiego teoretyzowania – jak tłumaczy jeden z nich – polega na jego skłonności do generowania nie rozumienia, lecz tego-co-jeszcze-nie-rozumiane.”<sup>1</sup> Taki jest etos filozofii, nie tylko klasycznej – wszelkiej. Etos problematyczny, podminowujący wszelkie stałe, w tradycji zakorzenione, relacje społeczne – jeśli generuje już jakieś wartości więziotwórcze, to tylko takie są dla niego zawsze obowiązujące, które dopiero się pojawią lub pojawić mają. I dlatego etos to niewygodny dla wszelkiej władzy społecznej i wszelkiego dominowania politycznego, nastawionych na utrzymanie *status quo*. Jak dotąd, to sprawy znane.

Co z tym etosem dzisiaj, w tzw. społeczeństwie opartym na wiedzy bądź sieciowym, gdzie władza w swych hierarchicznych zależnościach ulega rozmyciu, wychodzi poza struktury państwa – czy takie społeczeństwo i taka władza w ogóle dostrzegają jeszcze filozofów, czy nadal mają powody obawiać się ich? W semiozie kultury współczesnej, wielojęzycznej i wielogłosowej, w jej aksjologicznym zawirowaniu nie ma dyskursów/prawd lepszych i gorszych, bardziej i mniej szkodliwych czy dobroczynnych. Problem zdaje się więc pozorny. Ale nie zawsze i nie dla wszystkich – do takiego wniosku dochodzono stopniowo, a i on zresztą nigdy też nie został powszechnie zaakceptowany, ponieważ „powszechność” i „obiektywizm” straciły dla niego dawne obowiązywanie. Filozofia polityki odczuła ten dyskomfort – utratę swojego minionego (normatywnego) znaczenia – dopiero w latach 90. XX w., zwłaszcza anglosaska, o czym jeszcze będzie mowa poniżej. Początkiem lat 70. XX w. pojawiały się w niej jeszcze tak fundamentalne prace, jak *Teoria sprawiedliwości* Johna Rawlsa, napisana w duchu oświeceniowym, kantowskim. Nasza polska filozofia polityki w owym czasie – jej najlepsze osiągnięcia – to warszawscy historycy idei, już wówczas „zdziesiątkowani”, jako dysydenci i emigranci. Głos jednego z nich za chwilę przywołam. Trochę wcześniej, w latach 50., inny wielki, brytyjski historyk idei, Isaiah Berlin, pisał nadal w klasycznym platońskim stylu o odwiecznym konflikcie między społeczeństwem a filozofami/intelektualistami, którzy zadają mu kłam, ponieważ „upraszczają złożoną tkankę ludzkiego życia”, z „zaciekłością” „wtłaczają fakty do uprzednio przyjętej formy”, napotykać przy tym naturalnie

<sup>1</sup> M. Oakeshott, *O postępowaniu człowieka*, przeł. M. Szczubiałka, Wydawnictwo Naukowe PWN, Warszawa 2008, s. 21.

na opór niewinnych niczemu ludzi, powodując narastający „zamęt i bezmiar cierpienia”.<sup>2</sup> Skąd ten opór i niezgoda wśród „ludu” na intelektualne eksperymenty, skąd niezrozumienie u niego chwalebnych na ogół intencji teoretyków? Odpowiedź jest prosta. Oczywiście – powiedzą filozofowie, których Berlin miał na myśli – że z niedostatków oświecenia, na jakie on cierpi – konserwatywny, bezrefleksyjnie przywiązany do tradycji, obawiający się wszelkich zmian. Główny problem demokracji – jak w tym samym mniej więcej czasie tłumaczy i uspokaja jeden z socjologów, usiłujący filozoficznie – tak po Husserlowsku – ugruntować nauki społeczne, nie polega na tym, że jest ona rzekomo instytucją, „w której poglądy nieoświeconego człowieka z ulicy muszą mieć głos decydujący”. „Dlatego – jak konkluduje Alfred Schütz – obowiązkiem i przywilejem światłego obywatela demokratycznego społeczeństwa jest staranie, by jego prywatna opinia wzięła górę nad publiczną opinią człowieka z ulicy.”<sup>3</sup> Taki sam obowiązek i przywilej ma naturalnie również badacz społeczny przemawiający do oraz w imieniu oświeconych obywateli. Jego etos zawodowy określa rolę publiczną, którą odgrywa: „jego celem – pisze ponad dekadę później, dziś klasyk socjologii amerykańskiej, Charles Wright Mills – jest dopomóc jednostce, by stała się samokształcącym się człowiekiem, który dopiero może być rozumny i wolny”, a to znaczy „walka z wszystkimi tymi siłami, które niszczą autentyczną publiczność i tworzą społeczeństwo masowe”.<sup>4</sup>

Krótki komentarz: przedstawione tu rozumowanie uczonych żyjących i tworzących ok. poł. XX w. – Berlina, Schütza i Millsa – ma jedną wspólną właściwość. Skonstruowane jest ono mianowicie na binarnych metafizycznych opozycjach, mających swoją wersję niejako źródłową między formą a materią – ta pierwsza skojarzona jest z tym, co rozumne, określone, przejrzyste, wolne, samorozwijające się, spontaniczne, autentyczne, jednostkowe (co odnosi się tu do „publiczności”); ta druga, czyli materia, wiązana jest z tym, co nieokreślone, nierozumne, zniewolone, zbiorowe (co przysługuje „masie”).

Ta klasyczna, esencjalistyczna, argumentacja w rzeczy samej nie ulega zmianie, kiedy filozofowie – w opisywanym czasie – zaczynają mierzyć się z tryumfalnym pochodem rozumu technicznego, i w nim upatrywać powodu kulturowej degradacji swojej dyscypliny. Nie tak łatwo rezygnują z pozycji arbitrów – uruchamiają retorykę kryzysu, zepsutego świata, który jakoby miał przestać rozumieć humanistów. Sprawni w retorycznych fortelach, nie od razu dopuszczają więc do siebie złe informacje. Dość narzekań, humaniście, który ma kompleksy wobec sukcesów twardej nauki, brak „samowiedzy co do własnego

<sup>2</sup> I. Berlin, *Zmysł rzeczywistości. Studia z historii idei*, przeł. M. Filipczuk, Zysk i S-ka, Poznań 2002, s. 59

<sup>3</sup> A. Schütz, *Światły obywatel. Esej o społecznym zróżnicowaniu wiedzy* [1946], przeł. D. Lachowska, „Literatura na Świecie”, 1985, nr 2, s. 283-284.

<sup>4</sup> C. Wright Mills, *Wyobraźnia socjologiczna* [1959], przeł. M. Bucholc, Wydawnictwo Naukowe PWN, Warszawa 2007, s. 289.

miejsca na ziemi”<sup>5</sup>, powie nasz historyk idei na początku lat 60. XX w. A to grzech fundamentalny i chyba niewybaczalny, grożący „zawodową sterylizacją, nie mającą w żadnej innej dziedzinie życia społecznego rezultatów równie niszczących”<sup>6</sup>. „W żadnej innej”! Tak oto Kołakowski, kolokwialnie rzecz ujmując, płącze się w zeznaniach, widać, że nie chce być wysadzonym z siodła humanistą, no i że filozoficzna *hybris* ani na chwilę go nie opuszcza. Myśli sobie tak: nasze (tj. humanistyczne) potencje – w zakresie tworzenia zrozumień i kreatywnych rozwiązań ludzkich, odwiecznych problemów – nadal przecież są nieograniczone. Wystarczy tylko być świadomym „źródła inspiracji dla własnej pracy”<sup>7</sup>. Tylko tyle. Rozwiązanie proste, ale pozorne. Stosowanie tej recepty w pewnym momencie samo napotkać musi przecież na barierę tego samego zwątpienia, które nurtuje maruderów. Lekarstwo okaże się niechybnie tą samą trucizną, którą miało zwalczyć. By wspomnieć tylko o materializmie, mającym służyć za uniwersalny lek na chandrę humanistyki, zaordynowany przez filozofa w cytowanym tekście.

Kiedy zachodni filozofowie polityki w niespełna pół wieku później, w nowych już warunkach politycznych i kulturowych, zastanawiają się nad zmienną, niestabilną kondycją swojej dyscypliny (weźmy znamienne tytuły książek zbiorowych z tego czasu: *Political Theory: Tradition and Diversity*, 1997; *Political Theory in Transition*, 2000), powodów tego stanu rzeczy upatrują właśnie w tej nieszczęsnej *hybris* – pysze sięgania do podstaw norm naszych zachowań, do silnego podmiotu, zdolnego przenikać istoty rzeczy i czynić je przejrzystymi. Tłumaczą przy tym, że nie jest to żadna osobliwa właściwość jakiejś akademickiej subdyscypliny, lecz raczej tylko symptom pewnego szerszego zjawiska, jakim ma być niemoc (*malaise*) kultury oświecenia, z jej aspiracjami do transparentności i obywatelskości w relacjach społecznych, w którą to kulturę filozofia jest uwikłana.<sup>8</sup> Wśród krytyków przyjmujących taki punkt widzenia brylują oczywiście przede wszystkim postmoderniści, ale także i antymoderniści odwołujący się do filozofii klasycznej, tacy jak MacIntyre.<sup>9</sup>

Tych pierwszych, postmodernistów, powiedzmy Foucaulta, Derridę czy Rorty’ego, trudno *f o r m a l n i e* zaliczyć do grona „filozofów polityki”, raz z powodu ich otwartej niechęci do tradycyjnej teorii spekulatywnej, której towarzyszyły deklaracje – wyższość praktyki = praktyk dyskursywnych nad teorią, demokracji nad filozofią – na rzecz oddziaływania na przemiany w sferze kulturowej i spo-

<sup>5</sup> L. Kołakowski, *Wielkie i małe kompleksy humanistów* [1960], [w:] *idem*, Kultura i fetysze. Eseje, Wydawnictwo Naukowe PWN, Warszawa 2000, s. 255.

<sup>6</sup> *Ibidem*.

<sup>7</sup> *Ibidem*.

<sup>8</sup> P. Kelly, *Political theory in retreat? Contemporary political theory and the historical order*, [w:] N. O’Sullivan (ed.), *Political Theory in Transition*, Routledge, London 2000, s. 229.

<sup>9</sup> Z tymi krytykami nie zgadza się zresztą przywołany tu analityk, Paul Kelly, zob.: *ibidem*, s. 239.

łecznej.<sup>10</sup> Dwa – z uwagi na fakt, że oni, ich uczniowie i zwolennicy, robili zwykle kariery na uniwersytetach amerykańskich w katedrach anglistyki, teorii literatury czy studiów kulturowych, a nie filozofii. Przekonani o tym, że nie ma politycznie ani etycznie niewinnych praktyk czytania i komentowania tekstów – wszelkich: literackich, filozoficznych, naukowych i innych – ponieważ przemycają one ukryte działania władzy, wspomniani badacze konsekwentnie też kwestionują wszelkie esencjalistyczne ujęcia polityki, w tym jej nowoczesne rozumienie jako instytucji państwa. Ich stosunek (nie tylko) do polityki obciążony jest tzw. zwrotem lingwistycznym – a za nim, jak dodają niektórzy, performatywnym – inicjującym takie postawy/orientacje/kierunki badawcze jak poststrukturalizm, postkolonializm, feminizm, konstruktywizm, narratywizm i inne, z ich podstawowymi pojęciami tekstu, dyskursu, relacji wiedza-władza itp. W nawiązaniach do prac m.in. wspomnianych uczonych pojawia się w rezultacie nowy sens „polityczności”, znacznie szerszy od tradycyjnego pojęcia „polityki”, związany z językowymi sposobami działania w sferze społecznej i politycznej, z wytworzeniem znaczeń dla tego, co marginesowe, wywrotowe, nietypowe, inne.<sup>11</sup>

Rozum publiczny nie jest tu już pojmowany jako transparentny nośnik znaczeń, każdy akt komunikacyjny ma bowiem konotacje społeczno-polityczne, uwikłany jest w określone relacje władzy pojętej najszerzej jako dominacja jednej grupy – etnos, płeć, rasa, klasa – nad innymi, wyrażająca się w mechanizmach opresji, przemocy, fizycznej bądź symbolicznej, wykluczenia, marginalizacji... Nierozzerwalny spłot języka i działania, teorii – sposobów rozumienia – i praktyki społecznej, faktów i znaczeń oznacza tu dla teorii politycznej utratę jej neutralności, w pozytywistycznym tego słowa znaczeniu, nieuchronność zaangażowania w konflikty społeczne – funkcjonowania jako medium ich wyrażania i doświadczania.<sup>12</sup>

Od lat 80. minionego wieku w humanistyce amerykańskiej mówi się dlatego wręcz o „zwrocie etyczno-politycznym” – inna sprawa, że samo pojęcie „zwrotu”, modne i mocno nadużywane, straciło już dziś swoją ostrość – który miał się dokonać pod wpływem dekonstrukcji: pociągnęła ona za sobą bezwzględną akceptację różnic, a wraz z tą akceptacją postawy kontestacyjne, rewizjonistyczne, demaskatorskie wobec wszelkich dyskursów opresyjnych, dominujących, broniących politycznego *status quo*.<sup>13</sup> Wyrazem tego zwrotu stało się – jak tłumaczy Anna Burzyńska –

<sup>10</sup> Anna Burzyńska potwierdza: „konieczność porzucenia spekulatywnej teorii na rzecz »praktyki i działania« stanowiła nie tylko sedno poglądów Derridy, Barthes’a czy Foucaulta, lecz również amerykańskich neopragmatystów (zwłaszcza Rorty’ego).” (A. Burzyńska, *Dekonstrukcja, polityka i performatyka*, Universitas, Kraków 2013, s. 270.)

<sup>11</sup> Zob. *ibidem*, s. 225, 258, 272 i in.

<sup>12</sup> A. Vincent, *Introduction*, [w:] *Political Theory: Tradition and Diversity*, (ed.) A. Vincent, Cambridge University Press, Cambridge 1997, s. 7.

<sup>13</sup> Zob. A. Burzyńska, *op. cit.*, s. 207, 277, 281-282.

[...] nadawanie rozmaitym praktykom tworzenia, badania i interpretowania sztuki/literatury miana „krytyki politycznej” oraz postulaty „autentycznego zaangażowania” humanistyki (i oczywiście praktyk artystycznych) w problemy szeroko pojętej sfery społecznej i kulturowej [...]

wreszcie

[...] podejmowani[e] prób „performatywnego interweniowania” we wszelkie formy „zamrożonej rzeczywistości” – społecznej, politycznej i kulturowej – opartej na opozycjach, stereotypach i fiksacjach.<sup>14</sup>

Pod wpływem tego rodzaju krytyki „filozofia”, „teoria”, „polityczna”, każde z tych pojęć jest regularnie oprotestowywane, co do swojego znaczenia, w rezultacie czego problematyczny staje się też w ogóle nowoczesny dyscyplinarny podział wiedzy, w oryginalnych badaniach zachodzą bowiem na siebie teoria polityki, historia, filozofia moralna, psychologia, stosunki międzynarodowe, prawo, ekonomia itd. Ogólnie rzecz biorąc, wiedza naukowa zaczyna być postrzegana już nie jako coś „naturalnego”, niezależnego od kontekstu społecznego i politycznego, zbiór uniwersalnych instytucji i praktyk, lecz jako konstrukt, twór określonych środowisk, „wspólnot”, cechujących się „względną jednomyślnością poglądów na kwestie zawodowe”<sup>15</sup>, komunikujących się na podstawie tego samego – dla każdej grupy innego – bagażu lektur, lokalnych autorytetów, interesów itd. Jako taka nauka jest więc heterogeniczna – wskazuje się na wielość źródeł pochodzenia jej danych wyjściowych, metod, języków, celów... Fenomen ten mają oddawać pojęcia takie, jak dyskurs, ale także – z uwagi na moment integracji nauk – interdyscyplinarność lub transdyscyplinarność. Skoro świat i wiedza o nim utraciły swoją dziewiczą przejrzystość, jednoznaczność i trwałość, a modelami ilustracyjnymi stają się dla niego i dla niej figury labiryntu, kłącza czy sieci wreszcie, to siłą rzeczy wszystkie te czynniki oddziałują też na status i kondycję takiej dyscypliny akademickiej jak filozofia polityki. Nie dziwi więc, kiedy w miarodajnych zbiorowych opracowaniach z jej zakresu w końcu lat 90. XX w. napotykam następującego rodzaju pytania:

Czy teoria polityczna jest czymś innym niż filozofia? Czy filozofia polityczna jest tym samym co ideologia? Jaka jest relacja między filozofią polityczną i filozofią moralną? Czy teoria polityczna jest subdyscypliną (*subbranch*) politologii (*political science*), czy też jest z nią tożsama? Alternatywnie, czy teoria polityczna jest jedynie aspektem historii idei? Czy jest ona przedmiotem hybrydowym, zawierającym w sobie elementy innych dyscyplin? [...] Czy teoria polityczna czerpie korzyści z importowania na przykład teorii ekonomicznej? Czy takie dyscypliny wzbogacają, czy zubożają ją?<sup>16</sup>

<sup>14</sup> *Ibidem*, s. 225.

<sup>15</sup> Th.S. Kuhn, *Dwa bieguny. Tradycja i nowatorstwo w badaniach naukowych*, przeł. S. Amsterdamski, PIW, Warszawa 1985, s. 409.

<sup>16</sup> A. Vincent, *op. cit.*, s. 2.

A jeśli tak się rzeczy mają, to stosowne wydaje się kilka jeszcze innych pytań, chyba ważniejszych, przynajmniej z punktu widzenia obserwatora zewnętrznego: Po co w ogóle taka dyscyplina wiedzy? Po co jeszcze kolejni eksperci w świecie, który w każdej dziedzinie cierpi na ich nadmiar? I co gorsza – eksperci, którzy sami tak naprawdę nie wiedzą, kim są? I cóż oni wreszcie mieliby ciekawego do powiedzenia w dzisiejszej debacie publicznej?

## Filozofia monologiczna i naśladowcza

Wszystkie te problemy, które przeżywa filozofia polityki na przełomie wieków, dodatkowo komplikują jeszcze nasze polskie doświadczenia w jej uprawianiu. Podczas, gdy od lat 90. XX w. pełnymi garściami jęliśmy czerpać z dorobku filozofii anglojęzycznej – niezliczone tłumaczenia i opracowania jej poświęcone – szukając w niej panaceum na kłopoty z wolnością: demokracją i liberalizmem, ona była już świadoma swej dyscyplinarnej – a właściwie – interdyscyplinarnej ambiwalencji i miała za sobą apogeum publicznych sukcesów, z jakimi spotkała się teoria normatywna z przełomu lat 60. i 70. XX w. A czasy były to niespokojne – dwubiegunowy podział świata, wojna w Wietnamie, społeczne ruchy kontrkulturowe. Filozofia polityki zabrała wtedy głos w kwestiach zasadniczych – prawo, władza, sprawiedliwość, demokracja, rewolucja, nieposłuszeństwo obywatelskie... – którego echo rozbrzmiewało przez następne dziesiątki lat w teorii i praktyce politycznej.<sup>17</sup> Zresztą nie tylko filozofia analityczna (Rawls, Herbert Hart i in.), także ta o proveniencji hermeneutycznej, by wspomnieć o pracach niemieckich emigrantów w USA – nielicznych, co prawda, ale bardzo głośnych, takich jak Arendt czy Strauss, ten ostatni znany szerszej publiczności, jak podejrzewam, zapewne z drugiej ręki, za sprawą swego ucznia, Allana Blooma, którego *Umysł zamknięty* (1987), znalazł się – bodaj jako ostatnia książka w znanej mi najnowszej historii filozofii polityki – w centrum uwagi publicznej. Bez względu jednak na to wydarzenie, lata 80. i 90. XX w. – w opinii komentatorów – to już dla filozofii polityki, czego nie dałoby się powiedzieć o politycznie „zaangażowanej” humanistyce, czas wielkiej smuty, do głosu dochodzą w niej zgubne procesy instytucjonalizacji. Pod koniec lat 90. minionego wieku jeden z brytyjskich autorów pisze tak:

Oobecnie filozofowie polityki szeroko zwracają się do innych filozofów polityki; jak ujął to Michael Walzer „profesorowie piszą dla innych profesorów”. Niewielu myśli, poza rzadkimi i świadomie uproszczonymi i apologetycznymi momentami,

<sup>17</sup> Internetowa biografia Johna Rawlsa informuje: „Panuje jednak powszechna zgoda co do tego, że publikacja Teorii sprawiedliwości w 1971 roku doprowadziła do ożywienia filozofii polityki na studiach akademickich. Praca Rawlsa przekraczała granice dyscyplin, zyskując poważne zainteresowanie ze strony ekonomistów, prawników, politologów, socjologów i teologów. Rawls wyróżnia się wśród współczesnych filozofów polityki pod względem częstotliwości cytowań przez sądy w Stanach Zjednoczonych” (John Rawls Biography, biographybase, [http://www.biographybase.com/biography/rawls\\_john.html](http://www.biographybase.com/biography/rawls_john.html) [pobrano czerwiec 2013]).



o zwracaniu się do ludności (*populace*), a tym bardziej do pragmatyczno-państwowych biurokracji.

I dalej:

Jest jednak jasne, że filozofia polityczna nie jest już teraz tak zdecydowanie motywowana przez sytuacje krytyczne w świecie praktyki, jak przez endemiczne problemy wysoko wyspecjalizowanych języków oraz wewnętrzne napięcia zinstytucjonalizowanego zawodu. Według niektórych komentatorów tłumaczyłoby to częściowo milczenie anglojęzycznej filozofii politycznej na temat ogromnych historycznych i politycznych przewrotów, takich jak te z 1989 roku, mianowicie upadek sowieckiej hegemonii i zjednoczenie Niemiec.<sup>18</sup>

Milczenie to oznacza porażkę filozofów w debacie publicznej w świecie zachodnim, nas samych zaś stawia w jeszcze bardziej kiepskim świetle, niezmiennie w swej większości zachwyconych osiągnięciami myśli anglosaskiej w czasach, kiedy, jak się okazuje, niewiele miała ona nam w rzeczy samej do powiedzenia. Jeśli zaś nawet w owym czasie zachwycaliśmy się myślą postmodernistyczną, to i tak nie były to zainteresowania motywowane przez panującą u nas sytuację społeczno-polityczną.<sup>19</sup> Filozofia społeczna w tym wydaniu na naszym gruncie rozgrywała się więc obok realnych problemów ówczesnego życia społecznego, które były pierwszorzędnie natury ekonomicznej i cywilizacyjnej. Bardziej niż kwestionowanie „fundamentalizmu ontologicznego i epistemologicznego” filozofii zachodniej – a zatem także i krytyka seksizmu, rasizmu, imperializmu, kolonializmu, opresyjnych porządków społecznych – potrzebne były nam wówczas działania mające dostarczać ludziom dóbr z zakresu edukacji, pomocy socjalnej, opieki zdrowotnej itp.<sup>20</sup> I z tego chociażby powodu monologiczność naszej ówczesnej debaty filozoficznej – monologiczność, która zasadnie mogła być postrzegana z zewnątrz jako objaw dyscyplinarnej „pychy” jakkolwiek rozumianej. Oskarżano tę debatę nie tyle z pozycji pragmatystycznych, ile raczej konserwatywnych, inspirowanych filozofią klasyczną, przylegającą zwykle do idei o proveniencji romantycznej i nacjonalistycznej – dla krytyków postmoderniści to zatem kryptomarksści, moralni relatywiści, nihiliści, irracjoniści, ubodzy myślowo „monologiczni sekciarze”<sup>21</sup> itp. Tak czy inaczej jednak, postmoderni-

<sup>18</sup> A. Vincent, *op. cit.*, s. 16-17.

<sup>19</sup> Bibliografia prac na temat postmodernizmu w języku polskim z samej dekady lat 90. XX w. jest ogromna – wymienię tylko – przykładowo – ciąg publikacji (pomijam przekłady tekstów poszczególnych zagranicznych autorów): A. Zeidler-Janiszewska (red.), *Postmodernizm w perspektywie filozoficzno-kulturoznawczej*, Instytut Kultury, Warszawa 1991; pod redakcją tej samej autorki – *Oblicza postmoderny. Teoria i praktyka w kulturze współczesnej*, Instytut Kultury, Warszawa 1992; B. Baran, *Postmodernizm*, Inter esse, Kraków 1992; S. Morawski, *Niewdzięczne rysowanie mapy... O postmodernie (izmie) i kryzysie kultury*, Wydawnictwo UMK, Toruń 1999; antologie: S. Czerniak i A. Szahaj (red.), *Postmodernizm a filozofia. Wybór tekstów*, IFiS PAN, Warszawa:1996; R. Nycz (red.), *Postmodernizm. Antologia przekładów*, Wydawnictwo Baran i Suszczyński, Kraków 1997.

<sup>20</sup> Zob. A. Burzyńska, *op. cit.*, s. 133. Por. I. Shapiro, *Stan teorii demokracji*, przeł. I. Kisilowska, Wydawnictwo Naukowe PWN, Warszawa 2006, s. 40.

<sup>21</sup> Zob. np.: J. Życiński, *Bóg postmodernistów*, RW KUL, Lublin 2001, s. 90-91, 126. Zob. też opinie Ryszarda Legutki: „Istnieje uderzający kontrast między rozdetą stylistyką postmodernistycznych autorów, a

styczny „zwrot polityczny”, podobnie jak i jego krytyka nie wynikały u nas – trzeba się tu zgodzić z Burzyńską – ze „świadomości[ci] wszystkich tych przemian duchowych, które [ponowoczesność] ze sobą przyniosła – konieczn[ej] do tego, by móc się jej przeciwstawić. Ta zaś – konkluduje teoretyczka literatury – była (i nadal jest) w naszym kraju niemal szczątkowa.”<sup>22</sup>

Ale tak samo należałoby też skwitować nasz stosunek do tradycyjnie uprawianej, jeśli można tak powiedzieć, zachodniej filozofii polityki, w wydaniu liberalnym czy konserwatywnym, obojętnie, którą od lat 90. XX w. przyśwajaliśmy sobie równie intensywnie jak ów postmodernizm – również wobec niej mieliśmy – i nadal mamy – szczątkową świadomość realiów politycznych, gospodarczych i społecznych, które ją wygenerowały. Realiów kształtujących się przecież na przestrzeni z górą trzech stuleci – i to w ogromnej mierze bez naszego udziału. Mowa tu w szczególności o realiach, by posłużyć się klasyfikacją Tadeusza Buksińskiego, drugiego, oświeconego, związanego z liberalizmem oraz trzeciego, instytucjonalnego, etapu moderności zachodnioeuropejskiej – ten trzeci w polityce polegał na zastępowaniu liberalizmu przez system demokratyczny i państwo socjalne. Elementy (gospodarcze) drugiej moderności na ziemiach polskich były wprowadzane w ramach obcych, absolutystycznych systemów politycznych, podczas gdy w trzecią moderność Polska zaczęła wchodzić dopiero w dwudziestolecie międzywojennym – zaczęła i szybko skończyła dzięki wojnie i systemowi komunistycznemu.<sup>23</sup>

---

ubogością myślową ich przekazu. Widać to przede wszystkim w sposobie odczytywania klasyków filozofii. To co piszą: Derrida o Platonie, Foucault o Kartezjuszu czy Bauman o Kancie jest tak miałkie, że nie tylko w żaden sposób nie oddaje sprawiedliwości dzieł klasyków, ale nawet nie może służyć ich zrozumieniu.” „Twierdzenie, iż w epoce »logocentryzmu« konwersacja była utrudniona bądź jednostronna jest nie tylko jaskrawo nieprawdziwe, ale brzmi niepoważnie jeśli zestawimy je z monologicznym sekciarstwem postmodernistów.” „Osobną kwestią są losy postmodernizmu w Polsce. Do tej pory nie objawił się on z wielką mocą, choć trudno powiedzieć, by w życiu intelektualnym się nie liczył. Jego obecność należy, jak sądzę, traktować bardziej jako element inteligenckiego folkloru niż jako poważne zjawisko intelektualne. Przede wszystkim dały się nim uwieść środowiska literackie, zarówno pisarzy, jak i teoretyków literatury, choć można mieć zastrzeżenia, co do szczerości jednych i drugich. W przypadku pisarzy wygląda to bardziej na pozę niż autentyczne przesłanie twórcze. Zważywszy, iż doświadczenie komunizmu, trwające cztery i pół dekady i bardzo dotkliwe, nie zaowocowało przesadnie wielką ilością dzieł (ilość ta jest wręcz skąpa), trudno przyjąć, by kilka lat życia w rodzącej się liberalnej demokracji okazało się tak dramatyczne, że od razu rozdziło wśród licznych autorów dojmujące doświadczenie ponowoczesności. W przypadku polskich teoretyków można się zaś jedynie dziwić, iż mając w pamięci destrukcję w humanistyce, jaką dokonał marksistowsko-leninowski system podejrzeń oraz wywodzące się z tego samego źródła tropienie struktur władzy w kulturze, akceptują teraz tak bezkrytycznie podobny schemat demistyfikacyjny; z punktu widzenia intelektualnego nie ma wszak różnicy między doszukiwaniem się w literaturze klasowego uwarunkowania, a doszukiwaniem się w niej patriarchy czy etnocentryzmu” (R. Legutko, *Postmodernizm* [data publikacji 18.09.2005], tekst publikowany na stronie Ośrodka Myśli Politycznej, <http://www.omp.org.pl/stareomp/index9059.php?module=subjects&func=viewpage&pageid=314> [pobrano lipiec 2013]).

<sup>22</sup> A. Burzyńska, *op. cit.*, s. 229.

<sup>23</sup> Zob. T. Buksiński, *Moderność*, Wydawnictwo Naukowe Instytutu Filozofii UAM, Poznań 2001, s. 146-148, 337-340.

## Cnotliwi mieszczenie, primadonna i debata schizofreniczna

Mamy jednak coś na swoje usprawiedliwienie. Prawdę mówiąc, byliśmy wtedy poniekąd skazani na takie naśladowcze „modernizowanie” naszej humanistyki – po pierwsze dlatego, że nie mieliśmy własnej tradycji filozofii polityki, która pasowałaby do nowoczesnego państwa, nie mówiąc już o jego wydaniu „ponowoczesnym”. Nadal niepewni własnej oryginalności, możemy dziś jedynie pocieszać się, że cały ten nasz miniony ćwierćwieczny wysiłek włożony w przyswojenie sobie głównych nurtów zachodniej humanistyki, od których oderwani byliśmy w czasach komunistycznych, nie był bezsensowny, że perspektywicznie zaważył on na tym, kim teraz jesteśmy w tym obszarze wiedzy, a w rezultacie także i na charakterze naszego aktualnego życia publicznego. Tak wyglądałaby zapewne nasza linia obrony *ex post facto*. Po drugie, paradoksalnie, dlatego, że państwo, które właśnie otrzymaliśmy, wraz ze sferą publiczną sterowaną przez silne media opiniotwórcze, skoncentrowane w stolicy kraju, podporządkowujące sobie wszystkie niemal media lokalne, zamieniane na maszynki do robienia pieniędzy z reklam, nie dawało wystarczająco mocnych sygnałów świadczących o tym, że tego typu myśl jest mu w ogóle potrzebna, za wyjątkiem oczywiście fundowania – może tylko siłą bezwładności – etatów w uniwersyteckich katedrach filozofii społecznej i politycznej. Jak się bowiem okazało – i nadal okazuje – filozofów polityki nie potrzebują u nas sami politycy: największe partie polityczne programowo nie zamawiają u ekspertów opinii nie tylko społecznych, lecz także gospodarczych czy prawnych – wyjątek stanowią ci od wizerunku, tzw. PR-u – nie tworzą swego zaplecza intelektualnego, nie zakładają – na wzór powiedzmy partii niemieckich – poważnych fundacji finansujących badania naukowe – pieniądze, które otrzymują z budżetu państwa niemal w całości przeznaczają na kampanie wyborcze.<sup>24</sup> (Mimoходом wspomnę tylko o innych jeszcze patologicznych praktykach – nagłościonych akurat wtedy, gdy piszę te słowa, w połowie czerwca 2013 r. – finansowania przez partie dziennikarzy i ekspertów, socjologów i politologów, występujących publicznie jako komentatorzy „niezależni”.) Tego typu zachowania gwarantują elitom politycznym trwanie – od ćwierćwiecza utrzymują się na scenie właściwie w niezmiennym składzie personalnym. To jedna grupa potencjalnych odbiorców debaty filozoficznej. Druga – to społeczeństwo, nie wyrażające szczególnego zapotrzebowania na filozofów, pomne jeszcze „zdrady klerków”, którzy walcząc u boku robotników z komuną w imię wartości wspólnotowych, solidarności i sprawiedliwości, w nowym systemie szybko odwrócili się od „ludu”, zaczęli posługiwać się innym niż on językiem, stali się nauczycielami egoistycznych, elitarnych reguł życia społecznego, utwierdzając nowy dwubiegunowy jego podział: na „my”, tu na dole, przegrani, pozbawieni szans

---

<sup>24</sup> Zob. A. Stankiewicz, *Politycy mają miliony*, „Rzeczpospolita”, 08.05.2013. <http://www.rp.pl/artykul/16,1006888-Politycy-maja-miliony.html> (czerwiec 2013).

na normalność, i „oni”, tj. beneficjenci zmian systemowych, którzy sprawują władzę lub mają do niej bezpośredni dostęp. Obraz uproszczony, ale tylko takim mogą się tu posłużyć.

Profesorowie, owi klercy, tworzą elitę puszczającą oko do władzy i usilnie zabiegającą o względy mediów – tych nielicznych, o zasięgu krajowym, opiniotwórczych. Jest to grupa osób, której skład wykazuje mniej więcej taką samą tendencję stabilizacyjną jak w przypadku polityków-liderów partyjnych. Oczywiście – uczonych trzeba zrozumieć. Oni też dokonują dramatycznych wyborów. Do znanego dylematu akademików – publikować albo ginąć – dochodzi im jeszcze i ten: być albo w centrum – w debacie publicznej, albo na marginesie – czyli w murach obmierzłego uniwersytetu i, w najlepszym razie, kiedy dopisuje wysoka samoocena, czekać na pośmiertną chwałę – odroczonej gratyfikację. Uwaga: rozwiązanie pierwszego dylematu niekoniecznie unieważnia drugi, ten drugi bowiem domaga się odpowiedzi na bardziej szczegółowe pytania: gdzie, w których wydawnictwach publikować, gdzie i kto ma promować nie tyle i nie tylko owe publikacje, ile raczej ich autora – zwykle zresztą funkcjonującego w debacie publicznej i tak właściwie niezależnie od swoich uczonych prac – na łamach których czasopism, w programach których stacji telewizyjnych, w czym towarzystwie itp.

Niewielu spośród filozofów polityki udaje się pokonać tę aporię. I trzeba przyznać, że nie tylko naszym rodzimym. O większości w nich w świecie anglosaskim – dla nas przecież nadal wzorcotwórczym – możemy przeczytać, przy okazji rozważań Paula Kelly’ego, teoretyka polityki z London School of Economics, polemizującego z oskarżeniem nowoczesnej teorii politycznej o pychę, coś, co zabrzmiało nam bardzo swojsko:

W zakresie ich wpływu publicznego sprawiają oni raczej smutne wrażenie. Robią to, co robią. Publikują uczone artykuły i książki, dyskutowane przez innych profesjonalnych teoretyków polityki, biorą udział w konferencjach, promują magistrantów, a jeśli mają szczęście przewodzą na listach lektur dla licencjatów wszystkich głównych uniwersyteckich kursów z teorii polityki. Dobrze o nich może świadczyć to, że rzadko występują z jakimiś większymi żądaniami dla siebie. Wyglądają poważnie, ciężko pracują i często są bardzo produktywni – same dobre wartości mieszczańskie.<sup>25</sup>

Nie jest to diagnoza szokująca – jej socjologiczną wersję, utrzymaną w podobnym duchu, przedstawia niespełna pół wieku wcześniej od Kelly’ego przywołany już tutaj C. Wright Mills. Tak pisał on wtedy o amerykańskich badaczach społecznych:

Badacz społeczny żyje zwykle w środowisku ludzi zajmujących średnie pozycje z punktu widzenia klasy, statusu i władzy. Działanie w tych środowiskach często nie stwarza mu większych możliwości rozwiązania zagadnień strukturalnych niż te, które ma zwykła jednostka, ponieważ rozwiązanie to nigdy nie może mieć

---

<sup>25</sup> P. Kelly, *op. cit.*, s. 226.

charakteru czysto intelektualnego ani prywatnego. Właściwe postawienie tych zagadnień, podobnie jak ich rozwiązanie, nie może ograniczać się do środowiska podlegającego woli badaczy społecznych. Oznacza to, rzecz jasna, że są to zagadnienia władzy społecznej, politycznej i ekonomicznej.<sup>26</sup>

Jak widać, są to opisy społecznej roli intelektualistów – wśród nich filozofów polityki – będące składową ich samorozumienia przynajmniej od połowy XX w. Obok tych badaczy społecznych, cnotliwych mieszczan, świadomych swej bezradności wobec zastanych relacji władzy, oczywiście istnieli także „ludzie wiedzy” o ambicjach znacznie większych, którym marzyła się władza. Mills odrzuca takie typy osobowości w nauce wraz z ich wizjami – jego negatywnym bohaterem jest pod tym względem Talcott Parsons, co wcale nie znaczy, że sam godzi się na deprecjację społecznej roli uczonych, prostując już w następnym (po powyższej zacytowanym) zdaniu: „Jednak badacz społeczny nie jest tylko »zwyczajnym człowiekiem«”<sup>27</sup> – do wątku „zwyczajności” powrócę jeszcze w ostatniej części artykułu. Ci bardziej ambitni uczeni tworzą maksymalistyczne teorie istoty człowieka i społeczeństwa w przekonaniu, że zdolne są one pokonać przypadkowość świata i z u p e ł n i e z l e k c e w a ż y ć h i s t o r i ę, jak powie Mills, pisząc o „wielkich teoriach”<sup>28</sup>. Tak czy inaczej badacze społeczni, uwięzieni w kulturowych ramach percypowania świata w kategoriach walki między oświeceniem a obskurantyzmem, oscylują w swych nastrojach między poczuciem omnipotencji rozumu a doznaniem niemocy i banalności codzienności. Psychologicznie patrząc, jest to całkiem zrozumiałe – zamknięci w swych gabinetach, w otoczeniu książek, piszą kolejne mniej lub bardziej opasłe książki przenikające w swej treści samą „istotę” rzeczywistości społecznej oraz rządzących nią praw. Z chwilą, gdy tacy ludzie tylko wyjdą na świat – on, jakby na złość, stawia opór ich „woli”, przeniknięty kontyngencją. Przygodność budzi zniechęcenie i poczucie bezradności. Gdyby sięgnąć do opracowań z pogranicza socjologii wiedzy i (historii) teorii nauk humanistycznych, to okaże się, że i one odnotowują w końcu minionego stulecia podobną marginalizację przedstawicieli bodaj wszystkich nauk humanistycznych, przy czym niekoniecznie wskazują na ich pokorną akceptację tego stanu rzeczy. Inspirowani jeszcze przez dominujące wtedy „wielkie teorie”, demaskowali oni źródła wspomnianej obmierzłości uniwersytetu,

[...] nie chcieli – jak tłumaczy Ewa Rewers – pogodzić się z tym, że ich pasja przekształca się w zajęcie zarobkowe, a w szczególności w nisko cenioną działalność usługową. Dyskomfort przez nich odczuwany zwiększało podejrzenie, że to nie rozwiązywanie problemów, a reżimy zdobywania stopni, gromadzenia punktów, ubiegania się o pieniądze na badania (rozdzielane nadal według standardów „twar-

<sup>26</sup> C. Wright Mills, *op. cit.*, s. 286-7.

<sup>27</sup> *Ibidem*, s. 287.

<sup>28</sup> Zob. *ibidem*, s. 76.

dych nauk”) stanowią o wartości ich badań i w efekcie zmuszają do odkładania badania tego, co ich interesuje, na bliżej nieokreślone „później”.<sup>29</sup>

Na tle tych realistycznych opisów można sobie wyobrazić namiętności, jakie muszą wiązać się z owymi „większymi żądaniami” (Kelly) budzącymi się nagle u s m u t n y c h akademików, zajmujących „średnie pozycje” (Mills) społeczne, którzy zapragnęli wyrwać się z murów uczelni i z mieszczańskiej prozy życia. Przyjrzyjmy się im na przykładzie jednego z grona wspomnianych tu klerków – socjolożki polityki, o ambicjach silnie filozoficznych, uczestniczki opozycji demokratycznej za czasów PRL-u. O tym, jak trudno jest jej zwracać się do „ludności”, jak trudno pokonać w sobie pychę aspiracji teorii politycznej – bo tylko do takiego rozumienia pychy ograniczam się, dociekania psychologiczne mnie nie interesują – doskonale świadczyć może anegdota, którą pani profesor w dobrej wierze opowiada w jednej ze swoich licznych książek – podobne tony przebijają zresztą w wielu innych jej wypowiedziach, w tym także w niezliczonych audycjach telewizyjnych i radiowych, w których występowała ona w minionym ćwierćwieczu jako ekspertka, czasem doradczyni (w różnych okresach różnych) polityków, o wizerunku celebryty (dowodem czego mogą być chociażby jej fotografie swego czasu na bilbordach reklamujących gazetę „Dziennik”, bądź udział w prasowym wywiadzie sponsorowanym przez Polskie Koleje Państwowe):

W okresie komunizmu hydraulik to był ktoś. [...] Kiedyś, w latach siedemdziesiątych, udało mi się sprowadzić taką „złotą rączkę” z sąsiedztwa do naprawy przepływu wody w piecyku gazowym. W tym samym czasie byli u mnie koledzy: rozmawialiśmy, zaklinając rzeczywistość socjologicznym żargonem. Wtedy wierzyliśmy, że zrozumieć oznacza znaleźć wyjście z labiryntu absurdu. Hydraulik słuchał naszego tokowania i w pewnym momencie zaczął pakować narzędzia. Obraził się, bo – jego zdaniem – okazaliśmy mu brak zaufania, mówiąc między sobą za pomocą czegoś, co dla niego brzmiało jak szyfr. Ublągałam go, żeby jednak skończył robotę. A wieczorem dzwonek do drzwi. Do mieszkania wkroczył ten sam hydraulik, już po paru kielichach. Padł na kolana i poprosił, żebym i do niego coś powiedziała, jak to wyraził, „pięknie niezrozumiale”. A ja, chcąc się go pozbyć, rzuciłam parę zdań ordynarnym mięsem grypsery, której nauczyłam się w więzieniu na Rakowieckiej. Wtedy wyprostował się, nagle wytrzeźwiał i wyszedł – już naprawdę obrażony, bo pokazałam, że mogę imitować jego język, a on mojego nie może.<sup>30</sup>

To obraz, który w żaden sposób nie komponuje się z domem mieszczańskim, bardziej natomiast ze sceną operową – z primadonną w roli pięknej i bestii; efekt kempowego napięcia między powagą myśli a pretensjonalnością i banalnością sytuacji, języka i zachowania. Wiem, że przykład ten trudno generalizować, ale mechanizm „zdrady”, o którą mi chodzi, oddaje kryształowo. Co więcej, może on też zadziałać heurystycznie na czytelnika próbującego wyobrazić sobie – to

<sup>29</sup> E. Rewers, *Praktyka jako badanie: nowe metodologie w humanistyce*, [w:] A. Legeżyńska i R. Nycz (red.), *Teoria – literatura – życie. Praktykowanie teorii w humanistyce współczesnej*, t. I, IBL PAN, Warszawa 2012, s. 55-56.

<sup>30</sup> J. Staniszkis, *O władzy i bezsilności*, Wydawnictwo Literackie, Kraków 2006, s. 232.

taki eksperyment mentalny – filozofów, cnotliwych mieszczan, którzy nie mają takiej publicznej osobowości, jak pani w scenie z hydraulikiem. Wyobrazić sobie ich kondycję, czyli coś, co może w zbyt patetycznym tonie należałoby tłumaczyć jako poziom zawodowego samospełnienia, poczucie zasadności swojego istnienia, swojej społecznej użyteczności, swojego *raison d'être*. Taki eksperyment – muszę w tym miejscu uprzedzić możliwą krytykę – nie bierze się ani z resentymentu, ani z rzeczony pychy korporacyjnej: podobne ambicje ujawniają przecież także inni badacze społeczni, tacy jak powiedzmy socjologowie – i to nie tylko twórcy „wielkich teorii”, i nie tylko na polskim gruncie.<sup>31</sup> Otóż rzeczeni filozofowie polityki w opisanych powyżej warunkach mogą zaiste wpaść w depresję, a przynajmniej poczuć się nieco sfrustrowani, kiedy sprzed nosa uciekają im wyjątkowe (u nas w minionym ćwierćwieczu) okazje zabrania głosu w znaczących debatach publicznych na temat demokracji, władzy, sprawiedliwości, związków partnerskich i innych idei nadających kształt bieżącemu życiu społecznemu. Brak poczucia wpływu na opinię publiczną, oddziaływania w jakiś (jakoś wymierny) sposób na procesy decyzyjne w polityce. Owszem, za słabość – mieszczańskie kołtuństwo – można im poczytywać pragnienie szybkiej gratyfikacji – coraz mniej heroiczni w szybko zmieniającym się świecie, coraz trudniej zadowolają się odroczonej zapłatą za swoją pracę. Ale – nikt nie jest doskonały.

Nie ironizując, spróbuję na chwilę być ich adwokatem i pokazać, jak bardzo mają oni prawo ulegać czasem stanom depresyjnym. Weźmy jako przykład najnowszą debatę na temat szkolnictwa wyższego – ich miejsca pracy. Podczas gdy akademicy formułują odnośne (by użyć terminologii Habermasa) opinie *quasi-publiczne* w postaci oświadczeń, artykułów, przemówień czy listów otwartych (publikowanych zwykle w mediach branżowych, z których z zasady korzystają tylko koledzy po fachu, funkcjonujących głównie w sieci), to doskonale zdają sobie sprawę z tego, że i tak nie przebijają się ze swymi poglądami do sfery publicznej, czyli obiegu poszerzonego o publiczność obywateli (nadal w języku niemieckiego filozofa). Wśród tych uczonych mogą być nawet tak znamienite postaci jak Andrzej Walicki, który w interesującej nas sprawie w minionych dwóch latach wypowiedział się chyba dwukrotnie, raz w czasopiśmie internetowym, drugi raz już na forum „Gazety Wyborczej”. O impotencji akademików – nadmiernie cnotliwych mieszczan (to znów ironia) – w debacie publicznej napisał tam, co następuje:

Sprawa reform wprowadzanych w życie, w sposób bezwzględny i niedemokratyczny, przez Ministerstwo Nauki i Szkolnictwa Wyższego, długo nie budziła

---

<sup>31</sup> Znamienny pod tym względem może być tekst-mowa Pierre'a Bourdieu w obronie socjologii, wygłoszona z okazji przyznania mu w 1993 r. Złotego Medalu CRNS (Centre National de la Recherche Scientifique). Na wstępie autor powiada m.in. tak: „Spróbuję tedy na chwilę wejść w rolę rzecznika wszystkich socjologów, albo przynajmniej tych, którzy wyrazili wobec mnie dumę z zaszczytu, jaki spotkał ich dyscyplinę, oraz uroczyście wnieść petycję, aby francuska socjologia, powszechnie uznawana za jedną z najlepszych w świecie, mogła cieszyć się wszelkimi korzyściami symbolicznymi, a także materialnymi, towarzyszącymi rzeczywistemu uznaniu” (P. Bourdieu, Pochwała socjologii, przeł. M. Ziółkowski, „Kultura i Społeczeństwo”, t. LVII, 2013, nr 1, s. 3-4).

należnego zainteresowania opinii publicznej – także „Gazety Wyborczej”, tak wyczulonej przecież na naruszanie pryncypiów liberalnej demokracji. Tak jakby dotyczyło to środowiska mało ważnego i spraw mało istotnych. Próby zwrócenia uwagi na negatywne skutki tych poczynań – nie tylko dla nauki, ale też w skali ogólnospołecznej – nie zmobilizowały inteligencji do aktywnego protestu. Nie odniosły skutku próby interweniowania na szczeblu rządowym, w tym również, niestety, zainteresowania sprawą prezydenta RP.<sup>32</sup>

Jak wytłumaczyć tę bezsilność? Czy wystarczy rzucić oskarżenie na uczonych zamkniętych w murach akademii, grzeszących pychą i niedostosowaniem do współczesnych reguł debaty publicznej? Do pewnego stopnia tak – cytowany autor, chociaż wspomina o pewnych „próbach zwrócenia uwagi”, to jednak zaraz potem mówi też o „próbach interweniowania na szczeblu rządowym” – te ostatnie zabiegi, jak można domniemywać, nie są już jawne, publiczne. Jako żywo przywoływać mogą w pamięci jedynie rutynowe „załatwiania” wszelkich problemów w minionym systemie dyktatury proletariatu. Sugestia ta nie jest przypadkowa – wydaje się, że to ona właśnie najlepiej naprowadza na źródła zapaści, w jakiej znalazła się nasza sfera publiczna – czy cała? To już trochę inne pytanie. Interesuje mnie tutaj tylko jeden z jej sektorów, jeden z uniwersów społecznych, jakim jest świat nauki – do niego muszę się ograniczyć. Wskazana przez Walickiego atrofia debaty publicznej w sprawie szkolnictwa wyższego ma swe źródła w samej strukturze władzy politycznej, której sprawowanie nie polega na rządzeniu, lecz na p a n o w a n i u . Sytuacja przedstawia się następująco:

Decyzje o losach uniwersytetu jako instytucji, nie tylko w sensie organizacji nauki – jej systematyki: obszarów, dziedzin, dyscyplin – lecz także, nazwijmy to tak, jej istotności, czyli tego, co to w ogóle jest nauka, jakie są kryteria jej ewaluacji, a w konsekwencji także finansowania, nadal zapadają u nas centralnie, nadal funkcjonujemy w realiach centralizmu demokratycznego, czasem tylko bardziej już zawoalowanych, bez jawnych zależności, widocznych mechanizmów panowania politycznego (przy okazji: instytucja demokratycznych wyborów przedstawicieli środowiska naukowego do komisji ministerialnych jest odrębnym tematem do omówienia). Tak jak wtedy, tak i teraz, każda kolejna ekipa rządowa ma na swoich usługach usłużnych uczonych, oportunistów, zwabionych beneficjami w postaci prestiżu, realnej władzy związanej z zasiadaniem we wszelakich komisjach państwowych, decydujących o alokacji środków finansowych, stopni

<sup>32</sup> A. Walicki, *Najświętszy sojusz biurokracji z rynkiem*, „Magazyn Świąteczny” „Gazeta Wyborcza” (31.05.2013.) [http://wyborcza.pl/magazyn/1,132938,14014327,Nieswiety\\_sojusz\\_biurokracji\\_z\\_rynkiem.html](http://wyborcza.pl/magazyn/1,132938,14014327,Nieswiety_sojusz_biurokracji_z_rynkiem.html) (pobrano czerwiec 2013). Artykuł spotkał się z odpowiedzią prof. Marii E. Orłowskiej, specjalistki w dziedzinie informatyki, sekretarza stanu w Ministerstwie Nauki i Szkolnictwa Wyższego. Najważniejszy argument, jakim posłużyła się autorka brzmi następująco: „Jesteśmy jedynym państwem Unii, które w czasie kryzysu finansowego podwyższyło wynagrodzenia naukowców” (M.E. Orłowska, *Zmiany w nauce to dobre zmiany*, „Gazeta Wyborcza PL”, 14.06.2013), [http://wyborcza.pl/magazyn/1,133154,14105043,Zmiany\\_w\\_nauce\\_to\\_dobre\\_zmiany.html](http://wyborcza.pl/magazyn/1,133154,14105043,Zmiany_w_nauce_to_dobre_zmiany.html) (pobrano czerwiec 2013). Perswazyjna argumentacja akademików-urzędników, jak widać, graniczy ze śmiesznością. Zob. też A. Walicki, *Niebezpieczne nieporozumienia w sprawach nauki*, „Przegląd”, nr 7, 2011, <http://www.przeglad-tygodnik.pl/pl/artukul/andrzej-walicki-niebezpieczne-nieporozumienia-sprawach-nauki> (pobrano czerwiec 2013).



i tytułów naukowych.<sup>33</sup> Takie postaci psują naukę, zarówno jako instytucję, jak i jako społeczność/środowisko, kiedy, z jednej strony, utrwalają przekonanie o zasadności państwowego sterowania nauką, podczas gdy, z drugiej strony, za jednym zamachem powołują się na amerykańskie wzory rozwiązań w organizacji, finansowaniu i ewaluowaniu nauki. A są to, jak wiadomo, dwie całkowicie różne tradycje i gry kulturowe, nie dające się ze sobą pogodzić. Eksperci, funkcyjni uczeni, autoryzowani przez władzę i media zwykle jako „wybitni”, pozorują debatę publiczną, kiedy przejmują język swoich mocodawców – oficjalny, stopniowo ulegający rytualizacji, przekształcający się w nowomowę – którego jałowość demaskuje język półoficjalny lub prywatny. Ich publiczne wypowiedzi, podobnie jak i dokumenty instytucjonalne polskich uniwersytetów, epatują dziś „żywiołem magiczności” słów – jak ujął to swego czasu Michał Głowiński, analizując język PRL-owskiej propagandy politycznej – które „nie tyle odnoszą się do rzeczywistości, ile ją tworzą”<sup>34</sup>. Tak oto mamy na powrót do czynienia z pewną formą kulturowej schizofrenii, dobrze znaną z licznych opracowań języka politycznego społeczeństw zamkniętych, dzisiaj rozpoznawaną przez krytyczną analizę dyskursu (tutaj o szkolnictwie wyższym) ujawniającą jego silne uzależnienie od relacji władzy także w ramach społeczeństwa otwartego i jego sfery publicznej.

Kilka przykładów zaledwie na potwierdzenie powyższej diagnozy, które przedstawiam bez najmniejszych intencji oddania obrazu całości zjawiska. Skupię się na aktach cynizmu i hipokryzji publicznej akademików, którzy mówią – jak czyni to w mediach opiniotwórczych powiedzmy przewodniczący Polskiej (wcześniej, do 2011 roku, „Państwowej” – zmiana nazwy miała zapewne zneutralizować

<sup>33</sup> Bardziej szczegółowe uzasadnienie tych opinii wymagałoby oczywiście osobnego miejsca – byłoby to opracowanie z zakresu krytycznej socjologii nauki, ujawniającej różnego rodzaju mechanizmy rządzące organizacją tzw. nauki polskiej, które gwarantują względnie niewielkiej liczbie osób związanych z aktualną ekipą rządową kontrolę nad podziałem narzędzi władzy – funkcji w instytucjach centralnych, środków na finansowanie badań, wreszcie samych kryteriów ewaluacji tych badań. Zob. na przykład sposób wyłaniania zespołu ekspertów oceniających wnioski grantowe, który zapewnia reprodukcję właściwie tej samej grupy osób („powoływanych spośród wybitnych naukowców” – kryteria wybitności znane tylko urzędnikom ministerialnym): załącznik\_do\_uchwały\_nr\_18\_Korpus\_Ekspertów\_NCN.pdf; zob. też. Jana Woleńskiego *Uwagi o ewaluacji czasopism naukowych*, [http://www.dsw.edu.pl/fileadmin/ULS/Nauka\\_i\\_badania/PAN/Jan\\_Wole%C5%84ski\\_-\\_UWAGI\\_O\\_EWALUACJI\\_CZASOPISM\\_NAUKOWYCH.pdf](http://www.dsw.edu.pl/fileadmin/ULS/Nauka_i_badania/PAN/Jan_Wole%C5%84ski_-_UWAGI_O_EWALUACJI_CZASOPISM_NAUKOWYCH.pdf) (pobrano czerwiec 2013). Zob. też dyskusję na temat ustanowienia przez Zespół ds. Nowych Dyscyplin Naukowych Centralnej Komisji ds. Stopni i Tytułów nowej dyscypliny „nauki o polityce publicznej” – Zespół kierowany przez prof. Jerzego Woźnickiego, inżyniera elektronika, specjalistę w zakresie elektroniki próżniowej i optoelektroniki, pracownika Wydziału Elektroniki i Technik Informatycznych Politechniki Warszawskiej. Zob. J. Woźnicki, *Nowa dyscyplina – „nauki o polityce publicznej” usytuowana w dziedzinie nauk społecznych*, „Nauka”, 2012, nr 1, s. 133-151. Zob. też relację z wywiadu – i dyskusji przeprowadzonej na jego podstawie w radiu Tok FM – z prof. Markiem Rockim, senatorem Platformy Obywatelskiej i jednocześnie przewodniczącym Polskiej Komisji Akredytacyjnej; wywiad i dyskusja poświęcone jakości kształcenia na polskich uczelniach – Rocki przywołuje m.in. „cudowne” narzędzie służące rzekomo podwyższeniu tej jakości, jakim mają być tzw. Krajowe Ramy Kwalifikacyjne – jedno z podstawowych wyrażen najnowszej ministerialnej nowomowy: *Wyższe wykształcenie: „wybujale ambicje” czy „wielka szansa dla kraju”*, 11.06.2013, [http://www.tokfm.pl/Tokfm/1,103085,14077647,Wyzsze\\_wyksztalzenie\\_\\_\\_wybujale\\_ambicje\\_\\_czy\\_\\_\\_wielka.html#BoxWiadTxt](http://www.tokfm.pl/Tokfm/1,103085,14077647,Wyzsze_wyksztalzenie___wybujale_ambicje__czy___wielka.html#BoxWiadTxt) (czerwiec 2013).

<sup>34</sup> M. Głowiński, *Nowomowa po polsku*, Wydawnictwo PEN, Warszawa 1990, s. 8.

jej polityczne konotacje) Komisji Akredytacyjnej, i przy okazji senator z ramienia partii rządzącej – o podniesieniu jakości kształcenia na polskich uczelniach w sytuacji, kiedy prowadzi się tam studia masowe przy udziale – żeby wymienić tylko jedną z okoliczności, które fizycznie nieomal uniemożliwiają jakiegokolwiek podwyższenie jakości kształcenia, przeciwnie: jej radykalne obniżenie – tej samej kadry wykładowców, obsługujących jednocześnie szkoły państwowe i prywatne, kadry liczebnie niewiele większej niż w czasach studiów elitarnych. Podobną hipokryzję uprawiają ci wszyscy, którzy mówią o autonomii nauki – stąd i uniwersytetu – i jednocześnie powołują w trybie arbitralnych decyzji urzędniczych nowe dyscypliny naukowe, tak jak ostatnio „nauki o polityce publicznej” – ustanowione przez Zespół ds. Nowych Dyscyplin Naukowych Centralnej Komisji ds. Stopni i Tytułów (na marginesie: samo nazewnictwo tego rodzaju komisji wzbudziłoby zapewne zachwyt u reżysera Barei) – Zespół kierowany zresztą przez... inżyniera elektronika. Jak można mówić o autonomii nauki i centralnie podejmować takie decyzje, jak ta – również jedna z ostatnich – o przeniesieniu nauk o polityce – wśród nich także filozofii polityki – z dziedziny nauk humanistycznych do dziedziny nauk społecznych? W jej wyniku około tysiąca, może więcej, pracowników instytutów i wydziałów nauk o polityce polskich uczelni z poniedziałku na wtorek dowiedziało się o swoich nowych kompetencjach, których Warszawa, niestety, nie dała im w pakiecie wraz z rozporządzeniem<sup>35</sup> – większość z nich to bowiem z wykształcenia rasowi humaniści, historycy i prawnicy, o metodach badań w naukach społecznych (obserwacje, wywiad, badania ankietowe itp.) nie mający zielonego pojęcia. Niewinna na pozór modyfikacja w uporządkowaniu nauk nie dokonała się jednak wedle kryteriów epistemologicznych czy metodologicznych, lecz pierwszorzędnie powodowana była potrzebami organizacyjnymi w dziedzinie monitorowania efektów nauczania i badań, kryteriów oceny instytucjonalnej oraz ocen konkursowych, potrzebami w zakresie kontrolowania głównych (pożądanych) kierunków rozwoju instytucji naukowo-dydaktycznych, kadry naukowej itd. Nowa klasyfikacja nauk w praktyce ostatecznie wzmocni jedynie znaczenie zależnych politycznie organów akredytacyjnych i ewaluacyjnych.<sup>36</sup>

<sup>35</sup> Zob. Rozporządzenie Ministra Nauki i szkolnictwa Wyższego z dnia 8 sierpnia 2011 r. w sprawie obszarów wiedzy, dziedzin nauki i sztuki oraz dyscyplin naukowych i artystycznych, [http://www.bip.nauka.gov.pl/\\_gAllery/15/03/15036/20110823\\_rozporzadzenie\\_obszary\\_wiedzy\\_08082011.pdf](http://www.bip.nauka.gov.pl/_gAllery/15/03/15036/20110823_rozporzadzenie_obszary_wiedzy_08082011.pdf) (pobrano: czerwiec 2013) Por. uchwałę Centralnej Komisji ds. Stopni i Tytułów z dnia 24 października 2005 r. w sprawie określenia dziedzin nauki i dziedzin sztuki oraz dyscyplin naukowych i artystycznych (obowiązująca do 2011 roku), w której nauki o polityce zaliczane są do dziedziny nauk humanistycznych: [http://www.dn.uz.zgora.pl/pl/kadra/uchwala-CKSST\\_dziedziny2005.pdf](http://www.dn.uz.zgora.pl/pl/kadra/uchwala-CKSST_dziedziny2005.pdf) (pobrano czerwiec 2013).

<sup>36</sup> Oto jeden z wniosków, do których dochodzi ostatnio autor badający wpływ Nowego Zarządzania Publicznego (New Public Management – NPM) na kształt bieżącej reformy szkolnictwa wyższego w Polsce: „Ponadto w niektórych obszarach, jak finansowanie grantów badawczych, NPM nie wnosi nic nowego do już istniejących schematów – już wcześniej granty przydzielano na podstawie konkursów, choć po reformie znacznie więcej środków ma być rozdzielanych w ten sposób. W praktyce, w przypadku systemu grantowego problemy i rozwiązania mogą pozostać w dużej mierze te same – zmienić się może jedynie ich rola w systemie nauki oraz ideologiczny żargon, w którym będą formułowane. Otwartym pozostaje pytanie, na ile przydział grantów będzie motywowany politycznie i uzasadniany np. budowaniem „przewag konkurencyjnych” państwa,

Co to wszystko znaczy? Staram się opisywać, nie oceniać, chociaż, jak wiadomo, to karkołomne rozróżnienie: Spacyfikowane środowisko naukowe, pozbawione silnej reprezentacji w sferze publicznej, przejmujące obowiązujące w niej reguły gry, nie inicjujące dyskursów alternatywnych. Bezsilne wobec arogancji władzy, konformistyczne, unikające ingerencji w konflikty społeczne. Światli eksperci w wydaniu polskim nie interesują się tymi, którzy – z różnych powodów – nie mają głosu w debacie publicznej, etos emancypacji, wpisany w los nowoczesnych intelektualistów – związany z wyjaśnianiem nadającym energię wykluczonym, z uwrażliwianiem na dziejące się niesprawiedliwości – zastępują troską o własny wizerunek i płynące z niego korzyści. Nie chodzi im o opinię publiczną, lecz o własny prestiż – reputację. Multiplikują tylko to, co już publiczne jest – nie poszerzają zakresu przedmiotowego tej kategorii – nie tworzą tego, a jedynie oddają we władanie politykom i dziennikarzom. Ci ostatni ustalają więc reguły gry publicznej, wśród nich także kryteria wartościującej selekcji akademików. Wybraniec, któremu uda się już pojawić poza murami uczelni, w roli „wybitnego” intelektualisty, wiele musi za swój sukces zapłacić – przez „sukces” trzeba tu rozumieć udział w medialnym mainstreamie i związaną z tym możliwość kształtowania opinii publicznej, a w rezultacie – wpływania na decydowanie polityczne. Przede wszystkim musi on zaakceptować dominujące tam języki/dyskursy – sposoby myślenia, formułowania opinii i stawiania pytań – przyznając im wyłączność na definiowanie dobra wspólnego oraz prerogatywy w zakresie ustalania ram, organizacyjnych i personalnych, dla realizujących to dobro wartości. Media wyrokują więc dziś o tym, czy ktoś jest „kimś”, to znaczy czy jest rozpoznawalny publicznie, czy nie. Niedawno jeden z profesorów, socjolog, odniósł u nas tej miary spektakularny sukces dzięki politykom, którzy udostępniili go szerokiej publiczności obywateli jako „premiera technicznego”, czyli kogoś, kto właściwie jest nikim, ponieważ publiczność ta, jak dotąd nigdy nie spotkała się z odnośnym pojęciem. O błędzie w komunikowaniu politycznym nie może tu być jednak mowy, przeciwnie – to całkiem udany zabieg marketingowy, inaczej: manipulacja – zastosowany wobec odbiorców przyzwyczajonych do obcowania z osobami, które są znane z tego, że są znane. Kryteria stawiane przez media „wybitnym” intelektualistom nie są więc merytoryczne, owszem, takie również mogą się pojawić, powiedzmy wtedy, kiedy równie „wybitni” koledzy namaszcza innych swoich kolegów jako laureatów prestiżowych, medialnie silnie nagłaśnianych nagród i konkursów grantowych – mechanizmów takiej promocji jest sporo. Ostatecznie liczy się tylko rozpoznawalność. Z chwilą publicznego zaistnienia wspomniany profesor przestał być bowiem – w opinii publicznej – ekspertem, stał się za to poważnym kandydatem na stanowiska polityczne, takie jak prezydent Warszawy czy nawet prezydent RP. I jeszcze dygresja: takiej metamorfozy

---

które w konsekwencji może doprowadzić do uprzywilejowania pewnych obszarów nauki.” (K. Czarnecki, *Nowe Zarządzanie Publiczne a reforma szkolnictwa wyższego w Polsce*, „Praktyka Teoretyczna”, nr 1 (7), 2013, s. 95).

– dla porównania – nie musiał przechodzić swego czasu inny socjolog, Anthony Giddens, jako doradca brytyjskiego premiera, Tony’ego Blaira, i twórca jego przewodniej idei politycznej – koncepcji tzw. trzeciej drogi. Prawda, że socjolog został w rezultacie członkiem Izby Lordów, ale oznaczało to przyznanie mu tytułu honorowego za osiągnięcia naukowe – a nie pasowanie go na zawodowego polityka.

Cena sukcesu, o którym mowa, u nas łączy się natomiast, jak widać, z koniecznością zmiany zawodu: nie rezygnując ze stereotypowego autorytetu nauki, również nasi filozofowie polityki porzucają „filozofię publiczną” i przeobrażają się w praktyków-polityków z tytułami akademickimi (*casus* Legutki, Śpiewaka, Hartmana, w pewnym sensie także socjologów polityki takich, jak Staniszkis czy Zybortowicz), przejmują marketingowe reguły gry, decydują się na radykalizm i wyrazistość poglądów (jak robi to, przykładowo, Magdalena Środa chociażby w swym najnowszym – gdy piszę te słowa – felietonie dla GW: „Roczne urlopy macierzyńskie eliminują kobiety niemal całkowicie z rynków pracy”<sup>37</sup>; inaczej zachowuje się jako felietonista Marcin Król, który dlatego też nie ma co liczyć na rozgłos, jakim cieszy się Środa); decydują się na palikotyzowanie języka, coraz mniej przypominając już przez to filozofów (ostatnio *lead* w gazecie: prof. Hartman: „Baranem wchodzisz, baranem wychodzisz. Ja sam byłem profestytutką... ..”<sup>38</sup>). Może to tylko nasza specjalność? – oczywiście nie monitoruję tej sytuacji w innych częściach świata demokratycznego. Medialny sukces u nas swego czasu Tischnera i Kołakowskiego, a u naszych sąsiadów niedawno Sloterdijka i Safranski’ego (autorów głośnego programu pt. *Kwartet filozoficzny*, emitowanego przez parę lat w ZDF), chociaż wzbudził zawiść u niejednego komentatora akademickiego, to jednak nie pozbawił ich szacunku w środowiskach akademii, nie zamienił ani w polityków, ani w głupkowatych celebrytów. Ale przykłady te wydają się wyjątkowe jak na towarzystwo filozofów polityki, owych *s m u t n y c h*, *c n o t l i w y c h m i e s z c z a n*, raczej blado wypadających w debacie publicznej, zresztą nie tylko u nas, także, jak widzieliśmy, w świecie anglosaskim. Poza Ronaldem Dworkinem i... Jürgenem Habermasem, „honorowym członkiem anglojęzycznej wspólnoty teorii politycznej”, jak nazywa go cytowany tu już Paul Kelly, „większość teoretyków polityki [w tej wspólnotce] – zdaniem brytyjskiego autora – nie ma w ogóle żadnej osobowości publicznej”<sup>39</sup>.

„Osobowość publiczna” to tutaj zapewne tyle, co forma wyrażania swojej swoistości, komunikowania się z otoczeniem zgodnie z oczekiwaniami

<sup>37</sup> „Gazeta Wyborcza”, 12.06.2013. Z filozofii w przywołanym tekście pojawia się jedynie następująca fraza w funkcji czysto retorycznej: „Tymczasem już Arystoteles twierdził, że wszystko ginie z nadmiaru jakiegoś czynnika albo niedostatku innego, a trwa i rozwija się dzięki równowadze.” [http://wyborcza.pl/1,75968,14084339,Roczne\\_urlopy\\_macierzynskie\\_eliminuja\\_kobiety\\_niemal.html#TRNajCzytSST](http://wyborcza.pl/1,75968,14084339,Roczne_urlopy_macierzynskie_eliminuja_kobiety_niemal.html#TRNajCzytSST)

<sup>38</sup> Wyborcza biz. 08.05.2013., [http://wyborcza.biz/biznes/1,100969,13868169,Studia\\_\\_Prof\\_\\_Hartman\\_\\_\\_Baranem\\_wchodzisz\\_\\_\\_baranem.html](http://wyborcza.biz/biznes/1,100969,13868169,Studia__Prof__Hartman___Baranem_wchodzisz___baranem.html)

<sup>39</sup> P. Kelly, op. cit., s. 226.

społecznymi, wyartykułowanymi w mediach programowo podległych sondażom badania opinii publicznej. Przysługuje ona intelektualistom, którzy nie są ludźmi „duchowymi” w sensie sokratejskim. Ci ostatni utrwaleni zostali w kulturowych przekazach jako silne osobowości, które jeśli nawet nie potrafią zachować swojej tożsamości, to przynajmniej stale znajdują się „w drodze”<sup>40</sup> do realizacji tego celu. Ten klasyczny paradygmat – niektórzy zainteresowani powiedzą zapewne: na szczęście – mamy już jednak za sobą, o czym była mowa w pierwszej części tego artykułu.

Czy to źle, czy dobrze? Czy pytanie o filozofię polityki w debacie publicznej sprowadza się dziś zatem tylko do osobowości filozofów? Jeśli tak, to należy ono bardziej do psychologii społecznej, ewentualnie jakiejś psychosocjologii poznania naukowego, niż do samej filozofii. Ale i dla niej pozostawia pewne miejsce. Rozumienie toczy się przecież po kole, generuje zawsze to, co jeszcze niezrozumiałe. Po co więc filozofia w polityce? Cóż po filozofach w czasie marnym?

## Konsolacja i pragmatyzm

Co począć z tymi pytaniami? Czy dać się zwieść czarowi frazy o marności czasu i wczuć się w rolę jeszcze jednego, mocno spóźnionego „prawodawcy”, który zdążył jeszcze obrazić się na świat za to, że ten jakoby go już nie potrzebuje? Unieść się pychą? Ale to niestety zużyty scenariusz. Nie sposób wobec tego dalej przemilczać opcji zdaje się najbardziej oczywistej, zgodnie z którą wszystkie te pytania uznaje się po prostu za nietrafne i niezasadne, skoro, jak wiadomo, czym innym jest racjonalność/logika dyskursów akademickich, a czym innym racjonalność dyskursów publicznych, szczególnie politycznych. To dwa różne porządki = rozумы – nie ma dlatego powodu, by narzekać na brak miejsca w debacie publicznej dla filozofów polityki, mających jakoby tam właśnie realizować swoje kompetencje zawodowe, podobnie jak i w ogóle dla uczonych akademików. Cała powyższa argumentacja musi być zatem oparta na nieporozumieniu.

Wnioskowanie to, formalnie poprawne, ma jednak pewien mankament – zakłada mianowicie rozdzielczość ról społecznych, wynikających z nich zadań i odpowiedzialności, ich radykalną autonomizację, zgodnie z którą głoszono niegdyś hasła „pisarze do piór” a „robotnicy do fabryk”. Taka przesłanka stanowi podstawę autorytarnych systemów władzy – szacunek dla ról społecznych w demokracji, niezbędny, nie wiąże się jednak z ekskluzywnym ich traktowaniem, odwrotnie – domaga się akceptacji różnic, złożonych tożsamości jednostek (i grup), wielości różnych ról, które one na raz odgrywają w społeczeństwie, zdolne na swój sposób przyczyniać się do dobra wspólnego. A to by znaczyło, że również

<sup>40</sup> J. Patočka, *Człowiek duchowy a intelektualista*, przeł. E. Szczepańska, [w:] *idem*, *Eseje heretyckie z filozofii dziejów*, przeł. A. Czcibor-Piotrowski, E. Szczepańska, J. Zychowicz, Aletheia, Warszawa 1998, s. 216.

filozof, pisząc swoje teksty, bynajmniej nie dysponuje jakimiś bezstronnymi, obiektywnymi oglądami wspólnego świata, przeciwnie – uprawia określoną praktykę kulturową, inaczej: kulturowo sformatowany sposób myślenia, który – i tu zastanawiam się nad całym szeregiem metafor właściwych do ujęcia tego związku – jest o s n o w ą j e g o d z i a ł a n i a lub, zwyczajnie, *ż y c i a*. Zmiany dokonujące się w jego prywatnej wyobraźni tak oto należy ujmować jako „przeobrażenia świata” (Thomas Kuhn), w którym on działa i formułuje swoje językowe wypowiedzi, niezależnie od tego, czy i jak bardzo chciałby występować w roli niezaangażowanego eksperta. Podobny związek musi zachodzić także i u tych, którzy ze zrozumieniem czytają owe teksty – spotykają się z kulturowymi praktykami, o których teksty te traktują lub jeszcze inaczej: za pomocą których teksty te wchodzi w świat jako działanie.<sup>41</sup> Jest to opowieść o filozofii polityki, która rozstała się ze swoim tradycyjnym samorozumieniem, rozróżniającym teorię od praktyki, jakkolwiek tylko deklaratywnie, ponieważ w rzeczy samej przyznającej tej pierwszej prymat nad drugą – jak pamiętamy z pierwszej części tych rozważań, to z teorią/poznaniem/percepcją, z *vita contemplativa*, kojarzone jest to, co przejrzyste, uniwersalne (w tym, co) jednostkowe, wolne... , z praktyką, z *vita activa*, natomiast to, co zbiorowe, nieprzejrzyste, idiosynkratyczne, zniewolone, przygodne... Filozof-król odkrywa prawa bytu – te same obowiązujące zarówno w teorii, jak i w praktyce; teorię wiąże z myśleniem i rozumieniem pojmowanym jako „rachunek według określonych reguł”<sup>42</sup>, praktykę zaś skazuje na podległość tymże regułom pod groźbą stłumienia wszystkich innych politycznych głosów i aktywności. Co innego filozof polityki, o którym mowa – on już jest po przejściach z *w r o t u l i n g w i s t y c z n e g o*, widzi siebie – mówiącego i piszącego – jako uczestnika praktyk/gier językowych, w których liczą się jego praktyczne zdolności do używania ogólnych pojęć w konkretnych sytuacjach, pojęć racjonalizujących jego zachowania/działania, nadających im sens. Zdaje sobie sprawę z tego, że praktyki te nie mogą być neutralne wobec otaczających go relacji władzy – muszą te relacje kształtować i to nie tylko w ramach instytucji państwa, lecz także w obrębie interakcji społecznych między wolnymi agentami, jednostkami i grupami. Omawiany tu filozof wie, że próbując wyjaśniać te interakcje, wyjaśnia praktyki = języki, które się do nich odnoszą, że te odniesienia, czyli referencyjność, nierozzerwalnie wiąże się z performatywnością. A to znaczy, że jego filozofowanie jest już robotą, działaniem – wiąże się z zajmowaniem stanowiska, kwestionowaniem lub akceptowaniem obowiązujących reguł komunikacji społecznej. Taka filozofia to *p r a k t y k a k r y t y c z n a*, której sku-

<sup>41</sup> Zob. np. rozważania na marginesie konstrukttywizmu – krytyki dualizmu – Jozefa Mitterera: P. Janich, *Das dualistische Paradigma und die Funktionen von Sprechen und Handeln*, [w:] *Die Dritte Philosophie. Kritische Beiträge zu Josef Mitterers Non-Dualismus*, hrsg. A. Riegler und S. Weber, Velbrück Wissenschaft, Weilerswist 2010, s. 33-49.

<sup>42</sup> L. Wittgenstein, *Dociekania filozoficzne*, przeł. B. Wolniewicz, Wydawnictwo Naukowe PWN, Warszawa 2000, § 81.

teczność, polityczna ważność, wzrasta szczególnie wtedy, gdy wielogłosowość demokratycznej sfery publicznej jest zagrożona, wyciszana... Nie robi on przy tym jednak – jak przyznaje jeden z tak właśnie scharakteryzowanych filozofów polityki – „nic i s t o t n i e innego niż to, co czynią obywatelki i obywatele biorący udział w procesie argumentacyjnym”<sup>43</sup>. Chcąc nie chcąc, uczestniczy więc w budowaniu wspólnego (nam) świata i w tym sensie uprawia politykę. Inaczej mówiąc – również bez jego głosu na temat polityki nie ma polityki. Co należało dowieść.

Zdekonstruujemy jednak na chwilę logikę tego „dowodu”: Widać, że opiera się on na projekcie demokracji z centralną dlań ideą emancypacji. Sugeruje zainteresowanym trzymać się tej idei: dostrzec w wyjaśnianiu publicznych zjawisk szansę na wyzwolenie z ograniczeń, jakie narzuca świat społeczny m n i e i tym wszystkim, z którymi się publicznie dzielę m o i m rozumieniem. Zakłada, że ludzie są wolni i zdolni przez swoje racjonalne wysiłki zmieniać ów świat i wpływać na bieg dziejów. Ten rozpisany przez oświecenie scenariusz ma, jak wiadomo, bogatą tradycję, w wielu swych nurtach naznaczoną pychą, za którą nieuchronnie podążyła klęska – retorsje społeczne w odpowiedzi na zapędy imperialne i totalitarne politycznych reformatorów. Ale nie o tę część projektu tu chodzi – o jego resztę, której krytyczne ambicje są znacznie bardziej skromne, wystudzone za pomocą rozumu praktycznego, biorącego odpowiedzialność za siebie i innych.<sup>44</sup> Dla niego wyjaśniać jakieś (polityczne) zdarzenia i zjawiska znaczy być jednocześnie na zewnątrz i wewnątrz nich, nadawać im sens i kształtować je. Brzmi to jednak nadal jak pusta retoryka. Skoro w polityce liczy się skuteczność, to i my, s m u t n i a k a d e m i c y, nie uciekniemy od pytań o to, jak i w jakim stopniu możemy wywierać wpływ na publiczne „dziania się”, zwłaszcza te, które nas ograniczają i których nie jesteśmy w stanie zaakceptować? Co począć z naszą bezradnością wobec nich, taką samą jak ta, którą przeżywają z w y k l i o b y w a t e l e ?

Być skutecznym – to mieć udział we władzy. Heroizm w naszym wydaniu musi mieszać się ze śmiesznością. Poruszamy się w określonych reżymach pojęciowych i instytucjonalnych – jednym z nich jest przywołane tu szkolnictwo wyższe – a więc w określonych relacjach władzy – próbując je wyjaśniać, jak powiedziano, przestajemy być neutralni. Wchodzimy w konflikt z dyktatorami reguł rządzących debatą publiczną – jej językiem, tematami, punktami widzenia – którymi z jednej strony są sieci komunikacyjne służące interesom komercyjnym prywatnych nadawców, z drugiej – sieci komunikacyjne służące tzw. polityce medialnej, czyli różnym formom kontroli, jaką państwo sprawuje nad komunikacją społeczną. Miażdżąca dysproporcja sił skazuje nas oczywiście na przegraną w tym konflikcie. Paradoksalne – i zarazem jakby perwersyjnie pocieszające – w tym

<sup>43</sup> J. Tully, *Politische Philosophie als kritische Praxis*, Übersetzung E. Engels, Campus Verlag, Frankfurt a/M. 2009, s. 33.

<sup>44</sup> Zob. i por. P. Kelly, *op. cit.*, s. 239.

wszystkim jest to, że problem w gruncie rzeczy polega nie tyle na rozwiązaniu tego konfliktu, ile na jego podtrzymywaniu. Podtrzymywanie konfliktu między dyskursem filozoficznym a debatą publiczną możliwe jest zaś z dwóch powodów lub przy dwóch założeniach.

Po pierwsze, zachodzi ono tylko wtedy, gdy zrezygnujemy z kuszącego urokami panowania nad światem sposobu myślenia i mówienia według dychotomicznych rozróżnień między publicznym i masowym, obiektywnym/prawdziwym i subiektywnym/fałszywym, pozwalających jednoznacznie identyfikować i oddzielać od siebie kompetencje i role społeczne uczonych ekspertów, polityków i dziennikarzy. Nauka, nawet w warunkach współczesności diagnozowanej jako płynna, pozostaje nadal nauką, tak jak moralność moralnością, sztuka – sztuką, a polityka – polityką. Rzecz w zdolności i gotowości przekraczania przez nią barier między tymi obszarami praktyk kulturowych, zawiązywania z nimi przymierzy, dziś szczególnie możliwych dzięki mediom cyfrowym, Internetowi, w którym dyskursy i praktyki pochodzące z rozmaitych źródeł przeplatają się i łączą „głębiej, niż czynił to alfabet”.<sup>45</sup> Chętnie uzgodniłbym się w tym miejscu z intuicjami C. Wrighta Millsa – dokonawszy najpierw dekonstrukcji jego epistemologii – sprzed pół wieku – czasu zupełnie innych niż dzisiejsze realiów społecznych i technologii komunikacyjnych – który powiedziałby, że tak nakreślona „rola” badacza społecznego „nie oznacza, że trzeba walić głową w mur, najbliższym samolotem udać się na tereny objęte aktualnie kryzysem, startować w wyborach do Kongresu, kupić drukarnię... Rola ta wymaga tylko, by badacz społeczny prowadził pracę w dziedzinie nauk społecznych i unikał dalszej biurokratyzacji rozumu i dyskusji.”<sup>46</sup> I w ten sposób – jak rozumiem – wyrwał się z murów uniwersytetu i stał się także filozofem publicznym, praktykiem, uczestnikiem życia społecznego.

Po drugie, strategia podtrzymywania omawianego tu konfliktu między akademikami/filozofami polityki a sferą publiczną, jest możliwa i pożądana także z tego powodu, że poszczególne przegrane partie w starciu tych nierównych sił mogą okazać się dla tych pierwszych tylko pozorne, z perspektywy bieżących wydarzeń; skutki ich ingerencji w komunikację społeczną mogą być bowiem dalekosiężne i niewymierne. To pewna spekulacja konsolacyjna – nie pozbawiona racji. Według niej wszelka próba narzucenia komunikacji społecznej jakichś nowych reguł stanowi załączek przeciwwładzy. W *Krótkiej historii etyki* Alasdair MacIntyre pisze:

Filozofia pozostawia wszystko tak, jak jest – z wyjątkiem pojęć. A ponieważ znajomość danego pojęcia pociąga za sobą zachowanie się lub umiejętność zacho-

<sup>45</sup> J. McKenzie, *Perforuj albo... Od dyscypliny do performansu*, przeł. T. Kulikowski, Universitas, Kraków 2011, s. 23.

<sup>46</sup> C. Wright Mills, *op. cit.*, s. 297. Zob. i por. inspirujące z omawianego tu punktu widzenia uwagi Andrzeja W. Nowaka na temat Floriana Znanięckiego: A. W. Nowak, *Florian Znanięcki – pomiędzy filozofią, teorią a socjologią wiedzy*, [w:] T. Busiński (red.), *Filozofia na Uniwersytecie w Poznaniu. Jubileusz 90-lecia*, Wydawnictwo UAM, Poznań 2010, s. 160-163.



wania się w określony sposób w pewnych okolicznościach, to zmiana pojęć – czy to poprzez modyfikację pojęć istniejących, czy to poprzez tworzenie nowych, bądź obalenie starych – pociąga za sobą zmianę zachowania. Tak więc Ateńczycy, którzy skazali Sokratesa na śmierć, parlament angielski, który potępił Lewiatana Hobbesa w 1666 roku, oraz naziści, którzy palili dzieła filozoficzne – mieli słuszną rację sądząc, że filozofia może podważać utrwalone sposoby postępowania. Rozumienie świata moralności i jego zmienianie wcale nie są zadaniami nie do pogodzenia.<sup>47</sup>

To samo odnosi się do filozofii i świata polityki.<sup>48</sup> Odpowiedź na pytanie, „cóż po filozofach?”, jest więc przesadzona – bez względu na intencje, jakimi się kierują, w dowolnym miejscu i czasie, uczestniczą oni w dziele przemiany świata. Ale to też frazes. Pytanie, żeby miało sens, musi odnosić się do każdego z osobna, do indywidualnych postaw i wyborów życiowych – do odpowiedzialności każdego, kto jest zdolny stawić opór presji dominującej debaty publicznej, obronić prawa do własnych osądów i wyborów, ze świadomością ich znaczenia zarówno w wymiarze naukowym, jak i politycznym.<sup>49</sup> To tyle, co być zaangażowanym etycznie i – dlatego właśnie – rozumieć konstruktywność obu tych kategorii i ich desygnatów – uniwersów kulturowych, rozumieć, że ich wspólnym budulcem są reprezentacje, teksty pisane i mówione, które, choć w nauce i w polityce powstają w odmienny sposób, z inną intencją i w innym celu, to jednak tu i tam zawsze są także określonymi praktykami tworzenia = produkowania znaczeń, a nie tylko biernymi odbiciami „realiów” społecznych. Dla sfery publicznej – znów: zarówno naukowej, jak i politycznej – oznacza to, że jest ona czymś, „co trzeba z wysiłkiem i za każdym razem na nowo produkować. Dziś – jak dodaje Habermas jeszcze na początku lat 60. ubiegłego wieku – trzeba stwarzać okazje do identyfikacji – nic już nie jest publiczne, *publicity* trzeba dopiero ‘robić’”.<sup>50</sup>

„Robić” odnosi się do pragmatycznego i performatywnego charakteru refleksji filozoficznej: wiąże się z przekonaniem, że język nie jest transparentnym nośnikiem znaczeń, że nie da się go oddzielić od rzeczywistości, nie da się oddzielić konkretnej wypowiedzi/opisu od jej/jego przedmiotu; że to od jego pojęć zależy to, z jakimi zjawiskami, rzeczami, właściwościami i faktami mamy do czynienia. Dla filozofii polityki imperatyw „robienia” tego co publiczne jest składnikiem jej samowiedzy, świadomości nieuchronnego uwikłania w relacje władzy, takiego ich wyjaśniania, które jest zarazem sposobem interweniowania w nie, pewną formą polityki buntu. Buntu, który polega na stworzeniu frontu oporu przeciw wadliwej polityce demokratycznej, wszelkim formom dominacji – przymusowi

<sup>47</sup> A. MacIntyre, Krótka historia etyki. Filozofia moralności od czasów Homera do XX wieku, tłum. A. Chmielewski, Warszawa 2000, s. 31.

<sup>48</sup> Zob. T. Ball, *Political Theory and Conceptual Change*, [w:] A. Vincent (red.), *Political Theory: Tradition and Diversity*, op. cit., s. 42-43.

<sup>49</sup> Por. ideę socjologii krytycznej według Zygmunta Bauman: tenże, *Płynna nowoczesność*, tłum. T. Kunz, Wydawnictwo Literackie: Kraków 2006, s. 322-323.

<sup>50</sup> J. Habermas, *Strukturalne przeobrażenia sfery publicznej*, tłum. W. Lipnik i M. Łukaszewicz, PWN: Warszawa 2007, s. 368.

i perswazji, dyskursowi i przemocy – przed którymi państwo powinno chronić swoich obywateli i wszystkich, którzy mieszkają w jego granicach.

*Jan P. Hudzik*

### **Philosophy in the Tumult of the Public Sphere**

*Abstract*

Do journalists and politicians, who reign supreme in public life today, still need any philosophers? Which philosophers? The article consists of four parts. In the first one, entitled “Hubris and Being Lost,” I recall the canon ways of understanding the relationships between philosophy and broad publicity. In the second – “Monological and Imitative Philosophy” – I refer these relationships to political philosophy, which had to measure its strength against accusations of monologueness and disciplinary hubris and face its identity problem in the late 20th century. In the third part – “Virtuous Burghers, Prima Donna, and Schizophrenic Debate” – I show the weakness of philosophers and social researchers in general, referring to their reaching the mainstream media, as well as the expenses borne by those intellectuals who are going to break out of university walls, at the cost of the so-called betrayal of the clerks, or – another alternative – of being in the service of a political power, as is the case of institutional actors working within different as is the case of institutional actors working for various national governmental educational bodies in Poland, or, finally, of playing the roles of politicians at any cost. In order to see in a new light the meaning of the role of philosophers in politics, I use the constructivist proposition, according to which the opinions expressed in public places do not only convey a message or reveal one’s emotions or intentions, but also actively affect reality – they create it in a certain sense. How does philosophical thought, and more specifically speaking philosophers themselves, share in this work of creation? Finally, in the fourth part, “Consolation and Pragmatism,” I write on them by way of consolation and pragmatism as well. My motto is: to keep out of the philosopher-king motif, not to speak in a serious tone, not to make an apology – and not to lament!

*Keywords:* public sphere, political philosophy, roles of social scientists in society, intellectuals, politics, philosophical hubris, linguistic turn, hypocrisy of scholars, philosophy as a critical praxis, linguistic practices, constructivism, performativity.